

ROZMAITOŚCI.

Dnia 26 września,

N^{er} 39.

roku 1846.

ODPOWIEDŹ

NA ZDANIE

o grammatyce Deszkiewicza. *)

Nauczony własnym doświadczeniem przy wydaniu moich Rozpraw o języku polskim, kto nowych przybyszów na polu piśmienniczym zdaleka niepoznanych nieprzyjaźnie obwieszcza? chociaż później we wszystkich prawie polskich, we dwu niemieckich pismach zrozkowych, na katedrze literatury sławiańskiej w Paryżu zaszczytnymi wzmiankami, a najszczególniej przez znakomitego współpracownika na jednej roli, F. Jezierskiego, dostatecznie wynagrodzony zostałem; wiedziałem zawczasu jaki rodzaj budzicieli i moję Grammatykę, owoc kilkonastoletniej sumiennej pracy powita, i dla tego w przedmowie do tego ostatniego dzieła tak napisałem:

„Mający zamiar rozbięcia tej grammatyki niech raczą dobrze rozważyć to: co im się niebędzie podobowało, porównać wszystkie części z sobą, a nade wszystko cierpliwie od początku do końca przeczytać. Łatwo jest jeden wyraz pochwycawszy naganiać; ale kto cały ogół obejmie dobrze, mam nadzieję, że i w szczegółach stanowiących układową całość nieznajdzie zbyt bijących niestosowności. Tuszę też: że jak ja niczego dozwolnie w tej grammatyce niepostanowiłem; tak rozbierracze swoich zarzutów na swoim widzi-mi-się opierać niebędą: lecz ważne i przekonujące przyczyny przywiodą. Nadewszystko zaś niech nikt niezastawia się terażniejszemu użyciu: bo taki dowód nietakby był mocnym przeciwko memu układowi; jakby raczej dowodził słabości i nieumiejętności strony do walki wyzywającej, niemogącej się bronić czem innym; jak próżniaków tą odwieczną wymówką: tak weszło we zwyczaj, lub owego Sejmikowicza odpowiedzią: dla czego niepozwalasz? — dla czego i drudzy? — a dla czego drudzy? — a P. Bóg raczy o tem wiedzieć!”

Jakoż nieomyliłem się! jak przy pierwszym dziele zesłał na mnie P. Bóg Rossyjanina, Czecha, Rusina i jednego Warszawianina; tak moję grammatykę z dopustu wyższego powitał p. Pilat. Pierwszym cztęrem nawet odpowiadać niechciałem, ostatniemu zmuszony jestem, dla dokonania moich zamiarów, dla wszystkich ziomków z dzieł moich, jasnych.

Żem się nielekkał należytych osądów, żem niebył zarozumiałym w swojej uczoności, żem wiedział owszem o mej nieudolności osobistej, a wierzył potędze sił zgromadzonych; dowiodłem w Rozprawach str. 219. w Grammatyce str. IV. i w słowach wyżej przywiedzionych; gdzie wyraźnie wzywałem uczonych Rodaków do rozbięcia dzieł moich. Ale niechcąc dać przystępu pospolitym krytykom mieszania się nie w swoje rzeczy, Rozprawy moje tak ułożyłem; aby je tylko prawdziwie uczeni pojąć mogli. Otoż wybierski kamień na dzisiejszych i przyszłych krytyków! Bo jeśli oni milczeli, lub się umyślnie zaczęli przy wyjściu Rozpraw moich, tenże sam układ co w Grammatyce objaśniających; dowiedli albo ich niezrozumienia, albo niedbałstwa na najdroższy nam przedmiot, albo wreszcie namiętności jakichś ukrytych.

Przystępuję do zarzutów przez p. Pilata mi uczynionych.

1) Występuje pan P. z uwagami ogólnymi nad potrzebą zmian i przekształcania się języków żyjących, a z tonu, jakim to powtarza, przebija się: że się cieszy ze swego filozoficznego i jakby nowego wywodu, i że wartość do niego wielką przywiązuje; kiedy obmyśla aż dwa od razu wydania. Szkoda tylko, że to dla mnie nowością niejest! (Grammatyka 458.) Jeszcze będąc uczniem gimnazyjalnym i ucząc się od znakomych ludzi języka, a nie z Korczyńskiego grammatyczki, te myśli słyszałem: a kiedym się zaprzągnął do pracy o języku; naczytałem się dość podobnych uwag, może nawet lepiej rozwiniętych, mocniej popartych. Niemam potrzeby tu przytaczać autorów, moje Rozprawy za mnie odpowiedzą. Ogólniki podobne, które pan P. powtarza, mogą odważyć się drukować tylko ludzie mało obeznani z przedmiotem, lub

*) Patrz numer 29 Rozmaitości tegorocznych.

początkowi piór i papieru lubownicy. Prawdziwie uczony niepowtarza cudzych myśli, ale stosownie do okoliczności z siebie nowe wydobywa i z przeciwnikiem walczy równą bronią, lub przemożniejszą, również mocnemi, lub mocniejszymi dowodami.

W tém miejscu może mi pan P. zrobić zarzut: »dla czego więc Deszkiewicz, skoro słyszał i czytał tak wiele o potrzebie postępu w języku, przecię nam ciągle swój język zygmunowski zachwala? »i ten język wskrzesza?»

Luboby to pytanie po tém, co powiedziałem w Rozprawie 100 — 102, 137 — 145, 153, 168 — 213, 234, w grammatyce w przedmowie, a praktycznie na każdej jej stronicy, i lubo sam nawet pan P. powiedział rozsądnie: »Bywają czasy nieprzyjemne uprawie języka narodowego, spowodowane nieszczęsnymi kolejami społecznego życia, lub upadkiem rodzimej oświaty» i w drugim miejscu: »Istota języka, co do rodności swojej, jest póty nieodmienna, póki naród nie zmieszał się z innym narodem.» Nakoniec w trzecim miejscu: »wstrzymywać język na tem stanowisku... jest zaiste nienaturalną... jest tem samem, co w tarżeniejszych rzeczach smaku kształty zwane *rococo*, które świadczą bardziej o ubóstwie estetycznej myśli w naszym wieku i o braku samodzielności, niż o zdrowem pojęciu piękna» — luboby powiadam, taki zarzut był śmieszny i dziwny; jednak i nowemu ciekawcowi muszę coś odpowiedzieć.

Człowiek rozumem obdarzony powinien się rozumem rządzić, powinien ciągle postępować, coraz wyżej sięgać. Ale czy język nasz przez trzy wieki ostatnie rzeczywiście na wyższy szczebel wzbił się? lub przynajmniej czyli do doskonałości dążył? Niech mi pan P. dowiedzie mocniej, bo w tych uwagach, które wydrukował nie tylko ja, ale zapewne żaden i najprzyjaźniejszy mu czytelnik dowodu nieznajdzie. Na dowody moje na każdej prawie stronicy dzieł rozsiane potrzeba dowodami, a nie ogólnikami i czężą potylekroć gawędą powtarzaną odpowiedzieć, potrzeba historycznie wytknąć (Rozpr. 108 — 132), a tu przeciwnie się stało: bo trzy miejsca z samego p. Pilata wyżej przytoczone za mną mówią.

Przed trzema wiekami, jako w Narodzie samoistny był polityczny mającym, język był doskonałym zarówno przez lud prosty (czego dowodzi sam pan P. mówiąc nawet o swoich czasach) i stany wyższe. Te ostatnie, jako oświeczone, upiękniały język co do dźwięków, co do kształtów, co do wzorów zewnętrznych więcej, aniżeli prosty ludek pracą ręczną zajęty. Ale dopóty tylko przynaję wyższym stanom na doskonalenie języka wpływu; dopóki obcym wpływom same się niepoddały, Rozpr. str. 137 — 150, 173 — 213, Gram. 403 — 419, 458 — 464.

Bo skoro za przykładem Batorego, a następnie OO. Jezuitów i ogólnie duchowieństwa język łaciński wmieścił się w mowę i pisma wyższych stanów, czy będzie pan P. tak odważnym: aby w obec rozumnego narodu powiedział: że język polski szedł po doskonaleniu się drodze? Dalej kiedy francuzczyzna nas opanowała, dziś różne języki, nauki i książki powoli ducha rodzimego w nas wyziewiają; czy także będziemy tak zarozumiali: że za przykładem pana Pilata przypisywać sobie będziemy wyższe doskonalenie języka? Kiedy więc, że powiem słowy pana Pilata: nieszczęsne koleje zmieniły społeczne życie, upadła rodzima oświata, zabrakło samodzielności i zdrowego pojęcia piękna; do jakiegoż okresu sumienny grammatykarz ma się udać? czy pracujący nad językiem zwracając do złotego wieku ziomek, o trzy wieki, jak powiada pan P. ich cofają? Czyli raczej widząc niemożność dalej postąpienia i zatrzymując w najświetniejszym okresie, nieczynią przysługi podobnej temu, który spadającego w przepaść rozpacznika zatrzymuje? Grecy i nasi spółstawianie języki swoje znieleni, skazili. Któż z nich powtórzy za p. Pilatem: że ich język stosownie do wieku i potrzeb w doskonałości ciągle postępował? Niech wzbudzi p. Pilat Homera, Gundulicza, dawnych czeskich wieszczów, lub prawodawców językowych Pekka, Klatowskiego, nawet świeżo zmarłego ks. Dobrowskiego, a nawet niech dzisiejszych uczonych Sławian, nareście niech udawczy się na Litwę, o jej język zapyta, a dostateczną odpowiedź odbierze.

Powiedziałem w Rozprawach moich: że pospólstwo najdłużej język przechowuje, tak że nasze nawet kształtom z XIII wieku u siebie jeszcze przytułek daje, a nie samemu wiekowi Zygmunów, jak mi narzuca pan P. Grammatykarz więc nasz ma najobfitszą krynicę w mowie ludu, a drugą w pismach złotego wieku. Stany wyższe zacząwszy od Birkowskiego właśnie są dotąd pod największym wpływem nieszczęśliwych okoliczności, obcej oświaty, obcego sposobu myślenia, a za ich pośrednictwem nawet do tego ludu, zachowawcy najwiewniejszego spuścizny językowej zepsucie i obce się wyrazy przedzierają. Dość więc ma pracy dzisiejszy grammatykarz w rozróżnieniu swojego od obcego, a do tej pracy uwagi takie, jak p. Pilata zapewne niedopomoga. Chceż że p. Pilat abym dzisiejszy okres wziął za postępujący; kiedy jego zstępującego kierunku tak mocnemi i licznemi dowodami poparłem? Czy sumienny nasz uczeniec może mi za złe poczytać: że o tém ziomeków przestrzegam Kassandry wołaniem? Rozszerzać się o tej rzeczy dziś niewypada, wreszcie na ogólniki pana Pilata dość i tej odpowiedzi.

Drugi mi tu uczynić może zarzut pan P.: »Toż

przeciąg trzywilkowy nic nieprzyniósł? niczem się językowi nieprzysłużył?”

Nato nieco obszerniej w mowie mianej na zakończenie posiedzenia w Zakładzie N. O. 1844 r. odpowiedziałem. Ale niemogę się wstrzymać od przytoczenia słów, które porównanie mowy dawniej i dzisiejszej zawierają.

»Język dawny jest podobny do naszych otwartych, gościnnych, wstydliwych, religijnych, silnych, odważnych i ciężko uzbrojonych przodków: dzisiejszy jest podobny do wykwinnych, wymuskanych, obcem zgorzaniem zepsutych, okolicznościami do udawania znaglonych, zniewieściałych gładszów. Jak dawni ojcowie poważnie, chociaż nieco ciężko przy swoim ubiorze i zbrojach chodzili; tak ich język nietak jest potoczysty, ułudny i giętki, nietak w drobnostkach obfity i rozgatunkujący jak dzisiejszy. Ale jedrność, dużość, wielmożność Pradziadów i w język się przelęwały, — nasza miękkość, uczuciowość drażliwsza, zwijanie się tancerzkie przy stroju nienarodowym, uganianie się za drobnostkami i dowcipkowaniem, nieszczerłość, a nawet samolub' i w mowie się odzywa. Wielu dzisiejszych dzieł najwięcej między młodzieżą nawet płci pięknej krążących żadnaby nasza poważna i wstydliva praprababka bez zarumienienia się głośno nigdy nieprzeczytała, treści niepowtórzyła, religijny i surowy prapradziadek pierwszy z naszych romansów na kominiek ciągle pałacy się pewnoby rzucił bez miłosierdzia, możeby nawet na sejmach posłowie wnieśli o wytępienie dzieł swoją treścią i powabnym stylem nęcących, ku zniewieściałości i zbytecznemu rozczuleniu porywających, za okruszynę obyczajowości wielką wagę zgorzeń przedstawiających. Językowi dawnemu, choć bez grammatyk, duch rodowy, ten prawdziwy Anioł-Stróż, zmus jasności, zamknięcie cnoty, — narodowy, jasny, rozumowny i, że tak powiem, religijno-cnotliwy kształt nadały: naszemu i przy grammatykach, rozprawach z obczyzny naciąganych wiele błędów przybyło, — które jednak nie rozszerzyły się na szczęście! pomiędzy pospółstwem. Wyższości rozsądku, mocy i przenikliwości ducha naszych Pradków z naszymi już nawet nieśmiem porównywać: zbyt drażliwa, zbyt upokorząca prawda możeby się musiała wyrzec! — dość tego jednego rysu: księgi dawne były nacechowane pożytkiem; dzisiejszych większa część służy tylko zabawce na nudy. Do tego nawet przyszło, iż jedno z ważniejszych pism zrokowych dzisiejszych niewahało się powiedzieć: że dzieła o języku naszym, choćby najlepsze, nieobchodzą wprost Narodowi i są zawsze przedmiotem mniej zajmującym.»

Temi słowy zdaje się że oddałem słuszność jaka jakiemu okresowi należy? Znając to niezachęcam

do porzucenia, co się do dzisiejszego dnia zrobiło — ale tylko dobrego. Co do wzorów, niektórych nawet Zygmunrowskich odstąpiłem, a nowsze, skoro tego widziałem potrzebę, przyjąłem: ale tego pan P. niepotrafił odróżnić.

2) Niezadowolony jest p. P. z moich rozdziałów, wedle niego zanadto krótkich, o pisowni i iloczynie. Ale, jeżeli cokolwiek zna grammatyki, dla czego niewytkał tych rozdziałów niedostatku? Czyż dzieło ma się mierzyć na łokcie? Jeżeli widział niedostatecznymi przepisy moje; dla czego ich nie dopełnił choć jednym przykładem? Wszakże to do osąd należy! Mam nadzieję wszakże: iż i prawdziwi uczeni i dobrze znający język, a nawet całe życie poświęcający tej nauce niewiele mi zarzutów co do tych rozdziałów robią, owszem krótkość i zwięzłość moję uznają. Ja lepiej wiem, co mojemu dziełu brakuje? niedoskonałości jego sam wyznaję w przedmowie. Ale spodziewam się po dalszych moich pracach i po uwagach uczonych Rozbieraczy: że coś się poprawi, dalej posunie. Już w grammatyce mniejszej dla dzieci, którą kończę układać, niektóre się rzeczy sprostowały, niniejszą napisałem dla znających język i piśmiennictwo: ale p. P. tego się nie domyślił, kiedy w swoich zarzutach w barzo słabiej zbroi przeciw mnie wystąpił. Proszę tu zajrzeć do Rozpr. 45 — 53, i Gram. 429.

3) Dąsa się na mnie pan P. że w słowniczkach wyrazów niewskazałem miejsc, z których je pobrałem? Dziwne żądanie! abym dla ułatwienia niektórym krytykom dawania sądu o moich wyrazach, dzieło i tak obszerne we dwójnasób powiększał. Przyznam się, że tę łapkę właśnie dla tego postawiłem, ażeby pochwyleni w nią krytycy ze swoją wiadomością, lub niewiadomością rzeczy się wydali. Jakoż między potępionymi przez p. Pilata wyrazami zaledwie znajdują się dwa moje, inne są stare, dobre, nie pod wpływem obcym, jak dziś, skłębione wyrazy. Moich wyrazów bronić niebędę, niosa jednak chwała Bogu! tak złe, jakiemiby rad widzieć p. P., kiedy ich kilka sam użył. — Wszakże wyrazów rzadziej w złotym nawet wieku używanych źródło wskazałem i objaśniłem dla ułatwienia zrozumienia dzieł starych: zwłaszcza że i Słownik Lindego tak drogi i rzadki wiele ich nie ma. Od uczonych oszczędów zarzutu podobnego się niespodziewam: bo jestem pewny, że choćby który niezgadł z kądem, jaki wyraz wyjąłem? to przecię nowe moje od starych potrafi odróżnić i jeżeli za złe uzna, to będzie podobnie dowodził jak ja w Gram. 460 — 464, a nie tak po dyktatorsku jak pan P., co wprawdzie było dogodnie mojemu przeciwnikowi; ale mu zaszczytu i sławy w piśmiennictwie zapewne niezrobi.

Jasną więc rzeczą: że zarzuty poprzedzające p. Pilata niewymagały odpowiedzi z mojej strony;

bo na nie są odpowiedzi w samej Grammatyce, lub Rozprawach. Następne zarzuty tylko krótko przebiegnę i wskażę w obec całego czytającego świata: gdzie ma p. P. poszukać rozwiązania?

a) Nielubi p. P. powtarzając paciérz za Panią Matką *é* ściśnionego. Ale niech piérwéj zbije w Rozpr. 209—210, 230, w Gram. 431—433, i niech odpowie: czy wyrzucenie wyrobionego już brzmienia téj samogłoski nazywa się postępem? Upzedzam wszakże: że p. P. mówiąc po francuzku bardzo troskliwie to *é* sili się oddać.

b) O liczbowników w wzorach objaśniają Rozpr. 26, Gram. 32, 149—151, oraz IX. Jeżeli uznaje p. P. dzisiejsze niepewne i ułomne odmiany za lepsze i dźwięczniejsze od tych, które z naszego Herkulanu odgrzebałem, razem téż wyznaje: że jest z tego wieku, któremu sam ubóstwo estetycznej myśli, brak samodzielności przypisał, a zaprzeczył z zdrowego pojęcia piękna. Ja, lubo starałem się być lekarzem dla niektórych na słuch chorych Rodaków, niepodjęmuję się tego dokazać: aby dźwięki nasze stare zabrzmiały pięknie w uchu p. Pilata.

c) Co do słów nijakich niech przeczyta uważnie p. P. Rozpr. 227, Gram. 367—369. Mój przeciwnik chcąc dać do poznania jak obeznany jest ze starożytnym naszym piśmiennictwem, pochwalił się jednym Wujkiem. Ale niech raczy obaczyć List 1. do Korynt. XIII, 12, do Żydów II, 9, oraz III, 19, a tam znajdzie wyraźnie widzimy. Między słowa nijakie wtrącił p. P. prosimy, składając na mnie tę odmianę. Proszę go publicznie o pokazanie, na której stronicy w moich dziełach to znalazł? Ręczę, że tego nieznajdzie, zapędził się tylko w swojej samodzielności zawiele i dowiódł jasno (ile dla krytyka bardzo niezaszczytnie) że nawet mego układu zastosować nieumie i jego niepojmuję.

d) Co do pisowni słowa sstał się, znajdzie odpowiedź w moich Rozpr. 11, gdzie nawet zapomniałem położyć Wujka, którego znajomością bliższą tylko co się pochlubił p. P.

e) O liczbie podwójnej niech czyta jeszcze raz p. P. Rozpr. 21, 103, 131, 168, 204, a przekona się: że nic mi nowego niepowiedział. W Grammatyce dla dzieci, na pociechę p. Pilatowi, ta liczba będzie opuszczona, ale w niżej pominąć jej nie mogłem, dla przyczyny wskazanej w Gram. IX.

f) Jeżeli przemiana moja Grammatykarz jest zła; niech mi p. P. objaśni o czem pisałem w Rozprawach o języku polskim i o jego Grammatykach? czy miałem na celu Grammatyków, czy Grammatyki? A jeżeli

taka dwuznaczność i niepewność panuje; toć przecie miałem prawo do jasności dążyć i położyć przyczynę tego w Gram. 103—104, a nieudawałem się do dowcipnego wywodu jak p. P. z *grammaticarius*. Co większa nie lubiąc obcych wyrazów, wskazałem drogę narodową utworzenia własnego wyrazu Gram. 179—180, ale go nieużyłem jeszcze, boby może p. P. większego hałasu narobił.

g) Zapytuje się p. P. gdzie mówi lud najlepiej popolsku? Odsyłam go do Jana Śniadeckiego. Co do mnie, to tylko powiem: że kilkanaście lat pracowałem nad pogodzeniem mowy pospółstwa ustnej, mowy w pismach złotego wieku zawartej, mowy terazniejszej wyższej i wszystkich, ile znam, powiatowszczyzn. Ze wszystkich tych źródeł korzystałem, ale zawsze na podstawie mowy Zygmuntofskiej nie tylko ode mnie, lecz i od znakomitszych ludzi uznanej za najlepszą i dopiero się wyrobił układ rozwiązujący wszystkie trudności, a dowodzący obfitości, dźwięczności i różnaitości nieporównalnej wzorów mowy naszej. Niech spróbuje pan P. wziąć się do téj pracy, a obaczmy jak się z tego wywikła? Jeżeli mu się uda lepiej, choć dziś słusznie nieznajomość rzeczy przypisuję, po latach może mu sam hołd złożyć.

h) Rozumowstwo niejest mój wyraz. Rozpr. 4.

i) Pan P. powiada z przyczyny wyrazu oddszczone (choć i to niemój) że wyrazy podobnego zakończenia jak: poradne, wstępne, odudzne, mostowe, drogowe, oznaczają należytość prawną. Niechże powie dla czego kobielne, mléczne, pasne, skwarne, wrębne, lekkie podobnego znaczenia niemają? Czyli tu pan P. porań w wiek Zygmuntofski?

k) Pan P. mi przypomina: że język ludu jest najniższej warstwy duchowego życia. Prawdziwa biéda z Panami z książek tylko uczonemi! Toż lud samém ciałem jak bydlę żyje? A któż tworzył i kształcił język nasz do XIII np. wieku? Czegoż w nim niedostaje? — O zaisie jestto latorośl jak dąb silna, przez prostych wprowadzie, ale rozsądnych ogrodników zasadzona! Trzeba ją umieć pielęgnować: a konary pod niebo, korzenie do środka ziemi zapuści. I dziś nawet ręczę: że nasz chłopiek obznajomiony z przedmiotem lepszy wyraz utworzy; aniżeli wielu w toę obcej filozofii ubranych.

l) O znakach pisarskich moje myśli w Rozpr. 191—192, w Grammatyce na właściwém miejscu podałem — przeciw piérwyszemu nikt nie wystąpił.

ł) We zmianie o źródłach zarażających nasz język zapomniałem położyć czwartego, którem są powierchowne, niedojrzałe krytyki.

Za przypomnienie tego p. Pilatowi jestem wdzięczny: ale *antidotum* na to niewiedzę przy takiej zarożumiałości wciskających się na krzesło sędziowskie wyrokowców. Że pan P. nie rozumie mojej myśli o tych trzech źródłach; to niemoja wina.

m) Niepozwała pan P. na przywrócenie wyrazu starego gędzba. Ale niech pierwój przeczyta Rozpr. 25, a później niech odczyta, co zaraz następuje i co powiedziałem w wyżej wzmiankowanej mowie w Zakładzie N. O. mianej — oto jest z niej wyjątek!

„Drugi sprawozdawca o mojem dziełku, jakiś p. Kostrowiec w Tyg. Peter. powiada: że niegodzi się wyrazów obywatelstwem obdarzonych rugować. Ależ pytam się was, czy wyraz muzyka jest już uobywatelony? a przynajmniej czy słusznie, kiedy mamy swój własny odwieczny? Niejesteż ów raczej samozwańcem, narznięciem przez próżniackich naszych podróżników już polskuza pominających, albo przez cudzoziemców gwałtownie wprowadzonym? Czy godzi się obywatela tu urodzonego, od wieków osiadłego wyganiać, a jakiegoś obcego włóczkę na to miejsce osadzać? Niech sami moi nieuważni oceniacze sądzą. Dla poparcia swego mniemania p. Kostrowiec powiada: że wyraz muzyka i dla tego potrzebny, aby świadczył o historycznym pochodzeniu tej sztuki. Takie dowodzenie błahe z fałszywym świadectwem niejesteż z uszczerbkiem znajomości samego p. Kostrowca i co do historyi? Bo zaiste jeżeli mieliśmy wyraz gędzba przed wyrazem muzyka; pokazuje się, żeśmy mieli i obrażenie jego, to jest muzykę własną, narodową. Wprowadzeniem więc i utrzymywaniem tego ostatniego, obcego wyrazu nie tylko żeśmy dowiedli nierozsądku, nieznajomości dziejów; ale i niewdzięczności ku naszym Przodkom. Nakoniec kto ma ucho prawdziwie polskie, w wyrazie gędzba podobniejsze odwizerunkowanie przedmiotu urzy, aniżeli nawet w samej greczyźnie. Ucho polskie w tym wyrazie nieznajdzie też niczego nieprzyjemnego i brzydszego niż w wyrazie muzyka, a pochodniki z niego równie narodowe, dobrze utworzone i jednostajną liczbę zgłosek, jak i obce, liczące, oczekują tylko pisarzów z lepszymi dla naszych zaszczytów domowych chęciami.”

Pozwala i pan P. sobie za innymi używać namiętnie wyrazu puryści do tych, którzy pszenicę polską od kakała obcego chcą oczyścić, zapominając na znaczenie tego wyrazu: bo *puritas* (czystość) jest w każdym względzie cnotą. Że tę cnotę radnym mieć sobie przypisaną; śmiało mówię. Ale czyliby się pan P. niezarumienił, jeżelibym go nazwał przeciwnie?

Ł. Powiada pan P. że wyraz gędzba wyszedł na-

wet z koła pospółstwa. — Prawda jest, nieprzeczę. Ale to przyznanie jest na moję stronę większym dowodem obranego przeze mnie stanowiska, które pan P. tak lekceważy. Bo jeżeli do ludu prostego nawet, tak niełatwo obce rzeczy przyjmującego, za pośrednictwem wyższych stanów wchodzą cudze wyrazy; o ileż uczciwy każdy Rodak powinien być na baczości: aby obca wyrazów szarańcza plonów naszych własnych niepożarła? Języki wszakże umarte, a zwłaszcza łaciński od przyjęcia wiary św. wpływ tylowiekowy wywierający, zaledwie kilkanaście wyrazów i to przekształconych pójswojku do ludu wcisnąć potrafił: kiedy żyjące i wiek jeszcze niespełna panujące już mnóstwo i do pospółstwa swoich włoczyły, włoczyły nawet i wyrażenia obce, — a te przecię już dowodzą więcej niż same wyrazy: bo dowodzą innego nadanego kierunku sercom i głowom. Rozsądny gospodarz korzysta zaiste z nanosu fal (o których pan P. wspomina), ale jeżeli te fale zasuwają urodzajną ziemię szkodliwymi piaskami; czyliż ten gospodarz może być obwiniony, co się różnemi środkami stara o odwrócenie fal działania szkodliwego?

Nakoniec zbierając moje myśli pan P. jak ja pojmuje język i postępowanie pod liczbą 2) zupełnie przeciwnie moje myśli przywodzi, dobrowolnie przekręca, lub niewinnie nierozumie, toż samo odpowiadając co do czwartego. Na to już i odpowiedź ode mnie spodziewać się niepowinien, chyba tylko rady: aby po latach kilku pracy, dopiero się wziął do mojej Grammatyki rozbioru.

Oprócz wyżej przytoczonych rozsądnych trzech myśli, pan P. jeszcze na końcu skromnie powiada: że zdanie jego jest prywatne. Jeżeli kto, to ja i bez jego próby to zdanie za jego własne (pomiimo że zawsze my, nas, nam używa) uważam.

Czując się do jakiejś zasługi przed Narodem upraszam wszystkich krytyków: aby dobre chęci i czyste sumienie moje szanowali choć z przyzwyczajenia. Ja zebrałem drogą starożytność i spuściznę naszych przodków: i gdybym to tylko zrobił (czemu nawet pan P. nieprzeczy) już zasługuję na pewne względy, na jakieś uznanie. Nie stare jakie sprzęty, ale wizerunek wielkiego przedmiotu z wieków ubiegłych do przechowania wdzięcznym potomkom przekazuję choćby jak pamiątkę. Wszakże tak mówiąc nieuchylam się od objaśnień, od odpowiedzi na zarzuty w tonie przyzwolitym, naukowym zrobić się mające, lub mogące. Każdy znajdzie w odpowiedzi mojej spokojną krew, kto w swoich zarzutach i wątpliwościach ją zachowa.

Z tego wszystkiego, co się powiedziało, pokazuje: że nie tylko pan P. nic o mojej Grammatyce nie powiedział; ale nawet mojego stanowiska zapatrywania się na język nieocenił: bo też zawód swój pisarski zaczął od najtrudniejszej

rzeczy, od osądu! Chcąc na dzieło jakie naukowe sąd wydać, potrzeba znać tę naukę ze wszystkich stron, a zatem potrzeba długo pracować. Znajdą się gdzieś i tacy, — i na tych osąd spokojnie oczekuję, oraz przekonany jestem: że jeżeli wystąpi kto z naganą mego dzieła; wystąpi jak należy uczonemu, skromnie i z dowodami.

Uskarżają się powszechnie i słusznie u nas na stan krytyki. Ten stan daleko jest smutniejszym w naukach ścisłych, potrzebujących wiele przygotowań, — ale najsmutniejszym w Grammatyce: bo każdy mówiący językiem, już ma się za urodzonego sędzie. Gdy tymczasem wiadomo pracującym w zawodzie językowym: że on jest najtrudniejszym. Kopczyński całe życie strawił na tём, Mroziński długo pracował, nim ze swojemi dziełami wystąpił. Gdybyśmy się spytali żyjących grammatyków; toż samoby powiedzieli. Jeżeli więc napisać Grammatykę nie jest łatwo; to napisać osąd na nią daleko trudniej: bo w Osądcy wymagany już powagi nauczycielskiej od Narodu uznanej, dziełami, lub ważnością samego osądu dowiedzionej.

Cel osądu jest: 1) Rozważenie układu dzieła, czy ono dobrze temu układowi odpowiada? czy niema niedostatków, przerw, lub częściej gadaniny i powtórzań? 2) Porównanie nowo-objawionego układu do dawniejszych, a ztąd i tegoż nowego ocenienie, lub jeżeli niczego nowego niezawiera; wskazanie z kogo jest wziętym, albo naśladowanym? 3) osądzca prawdziwie uczony może mieć swój własny układ, a zatem ma prawo i ze swoim porównywać i wtedy rozbiieranego autora jest prawdziwym nauczycielem, 4) z tego wszystkiego pokazanie: czy dzieło naukę posuwa na wyższy stopień, czy jest postępem? a zatem czy autor godzien zająć i jakie miejsce w piśmiennictwie narodowem?

Z tego wynika 1) że w osądcy powinna być znajomość przedmiotu jeżeli nie większa, jak w autorze rozbiieranym, to przynajmniej równa, i w tym ostatnim razie osądzca bystrością wzroku duchowego powinien celować: bo inaczej zawszeby przegrał. Czytać więc powinien wiele osądzca i znać wszystkie źródła pomocnicze, wszystkie dzieła poprzednicze. 2) Powinien być osądzca zamiłowany w nauce, sumienny, daleki od wszelkich namiętności i osobistości, a jak w nauce naszego języka, jeszcze mają prawo Ziolkowie domagać się od niego dobrych zamiarów.

Czy pan P. uczący mię w wielu rzeczach posiada te potrzebne przymioty? Niech Nieuprzedzeni sądzą. W moich Rozprawach i w Grammatyce co krok dają objaśnienia, dowody: gdzież je zbija różnemi dowodami pan P.? Czy przywiódłszy powiastki o Galilejuszu, Niutonie (Newton), wspomniawszy o Frankach — Gallach, Cyeronie, Horacym, Wirgilim, Wolterze,

Arystotelesie i t. p. (którzy wszyscy nawiasem powiedziawszy popolsku nieumieli), czy przytoczywszy coś pofrancuzku, połacinnie nabywa prawa do wyrokowania w tak zawiłym i trudnym przedmiocie? Wreście czy swoim zdaniem o mej Grammatyce dowiódł zamiłowania nauki, sumiennosci, zimnej krwi? Ależ tak rychłe wystąpienie, to podwójne wydanie, to niewyrozumienie i przekręcanie moich myśli, ten tok mowy dowodzi wyraźnie jakiejś osobistości, jakichś głębszych widoków!

Dobrych zamiarów znać niemożę. Wiadomo że dziś słowa nic nieznaczają, ale czyn. Pan P. powtarza pięknie o postępie, jego broni: ale czy to nazywa się postępem u p. Pilata powstawać na dążność moją do jasności, do wyrzucenia obcych narodzi? Kto z nas cofa język? czy ten, który obraz całkowity jego przedstawia? czy ten, który z tego obrazu wycina niektóre, jak widzieliśmy, części? Taki czyn już niejest cofaniem, ale sumiennie powiedziawszy jest okaleczeniem i powolnym zabijaniem.

Nakoniec i celu osądem swoim pan P. niedopiął: bo nie na dzieło, nie na jego układ powstaje; ale na kilka myśli, na kilka wyrazów i to w większej części wyjętych z przedmowy, na co odpowiedziawszy w obu dziełach przed stworzeniem artykułika p. Pilata, niemiałbym nawet obowiązku na taką wycieczkę urywkową odpowiadać; gdyby mię zamiłowanie przedmiotu, szacunek i wzięczność dla Rodaków pomagających do nakładu mej Grammatyki do tego niezmusiły.

Pisałem w Łancucie 1846 r. Lipca 26. dnia.

Jan Nep. Deszkiewicz.

FALSZERZE.

Na rogu ulic Cerisain i Lesdiguierras stał w r. 1720 jeden z owych małych, samotnych domków, jakie wówczas każdy człowiek dobrego tonu, na przedmieściu w Paryżu posiadać musiał, jeśli tylko miał 40 tysięcy liwrów dochodu, znakomite imię, czego już mniej nieodbicie wymagano, i kochankę, którą przed cenzurą opinii publicznej ukrywać należało, co nieodzowną było potrzebą.

Ulica Cerisain, która i dziś jeszcze jest tak pustą i odludną, mogła wtedy za koniec świata uchodzić; co godzina mijał tamtędy ledwie jeden przechodzień, a w zimie i w dniu dżdżyste, zgoła nikt nie przechodził. Ogrody kwietne, które prócz wdzięków także i rozległość dużych łąk miały, niezmierzone ogrody warzywne, dzieliły przestworami głuchej samotności jedną ulicę od drugiej. Tylko w lecie, o zachodzie słońca, zlatywały się na ulicę roje ptaków, których panująca w tej stronie cisza, zapach kwiatów i jarzyny zwabiały.

Ale wszedłszy do środka owego wspomnianego powyżej domku, i stanąwszy nogą na wschodach,

zapominało się natychmiast o nudnej drodze, jaką trzeba było przebyć, aby do tego celu zdążyć. Zaraz na pierwszym stopniu schodów dawał się uczuć pod ręką miły chłód hebanowych i palisandrowych poręcz, a łagodne światło, tajemniczo za barwistém przezroczem ukryte, połyskało złotawą zorzą po gładkich jak marmur ścianach, na których widać było przeszlicznie malowane nimfy, wskazujące różanemi palcy, lub też utęskniającém wejściem, na wnijście do pokoiów. Zielona, złocistemi nitkami przetkara zasłona, spadająca w szerokich przegubach od stropu aż do ziemi, zakrywała to pierwsze wnijście. Prowadziło ono do niewielkiej czworograniastej sali, oświetlonej jednym srebrnym świecznikiem, a ogrzewanej dwoma ozdobnemi kominami. Dziwne upodobanie właściciela umieściło w czterech rogach cztery chińskie pagody naturalnej wielkości, które nieustannie głową kiwały. Wzdłuż ścian stały bardzo niskie krzesła, których siedzenie i grzbiet były ozdobione tkaniami krajobrazami, równie cudnej roboty jak i kosztowne ścian obicia. Przedstawiały one na bładniebieskiem tle wszystkie wyprawy Aleksandra wielkiego. Tylko jedno duże zwierciadło wisiało w tej wstępnej sali, przeznaczonéj do poprawienia nieładu w toalecie przybywających gości. Za wnijściem do tej komnaty zjawiał się natychmiast służący ze szcztoką, i zanim kogo oznajmił, wyglądał mu strój i fryzurę, nadwerężoną poruszeniem powozu. Zwyczaje owych czasów utworzyły były szczególny rodzaj służących, którzy do tej wyjątkowej służby przyuczani, zachowujący święcie powierzane im tajemnice, godni byli zaufania, jakiego służba ich wymagała, i mieli, że tak powiemy, swój właściwy język, którym z gośćmi rozmawiali; zresztą małomowni a ugrzeczniejsi, dobrze płatni, wszyscy prawie rodem z Paryża, który lepiej od całej policji znali, przycém rozumiejący się nieco i na kucharstwie, i na sztuce fryzjerskiej, i na woźnictwie, byli oni poniekąd wszytkiem w jednej osobie. Rewolucya z r. 1789 zmiotła ten naród z powierzchni kuli ziemskiej.

* * *

Było pod koniec czerwca, a ku schyłkowi dnia nadzwyczaj skwarne. W komnacie, będącej za tą, którąśmy właśnie opisali, siedziała młoda kobieta przy otwartém oknie i bawiła się w zamyśleniu falbanami swojej muślinowej sukni, podwiewanemi wiejącym z ogrodu wiatrem. Jój bardziej myśląca niż zadumczywa głowa wspierała się na ręce, opartéj łokciem o niżę w oknie. Lewa jój ręka igrała medalijonikiem, napęcznionym pachnidłami, a przymocowanym do prawej ręki sznurkiem z włosów, odmiennego od jój własnych koloru. Drgające poruszenia ust, a osobliwie niespokojne suwanie tam i sam nóżką po białym aksamitnym taburcie, który

przeło co chwila był w niebezpieczeństwie rozdarcia, świadczyły o trawiącej naszą piękną nieznaną niecierpliwości. Jój między czarnym a niebieskim kolorem mieniące się oczy odzwierciedlały wymownie niepokój i obawę dwudziestoletniej jój duszy. Spoglądała ona kolejnie to na skłaniające się ku zachodowi słońce, któreby chętnie swoim wachlarzem była poza rozplómienny krawędź widokregu popchnęła, to na podwoje komnaty, które niestety nieruchomo na swoich złożonych wrzeciędzach spoczywały. W twarzy jój, lubo niecierpliwością skrzywionej, malował się wyraz dumnego, nieugiętego i namiętnego charakteru; jój czarne brwi, jój delikatnym, ledwie dostrzeżonym mchem czarniawym ocienione usta, jój drobne połysne zęby, wyblaskujące za każdém westchnieniem oczekiwania, odbijały szczególnie od pulchnego nadęcia jój warg pobladłych i płowych. Stając się z każdém mgnieniem oka niespokojniejszą, miała ona na każdy nowy przypływ niecierpliwości nowe, osobne poruszenie, które ją wydawało; to wybijała takt na kolanie, to wnet przysuwała i odsuwała podnózek, to znów otwierała lub zamykała wachlarz, to wodziła palcem wzdłuż krawędzi wszystkich w ołów' oprawionych szyb w oknie, a wreszcie zaczęła jedną iglicę od włosów po drugiej za okno rzucać; przezco oczywiście mnóstwo fontazjów, wstążek i kwiatów do ogrodu z głowy jój pospadało. Nakoniec nie mogła już dłużej wytrzymać, wstała, i chodząc tam i sam po pokoju, rzuciła najprzód wachlarz, dalej atlasową mantylę, naostatek całą, modną naówczas perukową fryzurę w kąć na kupę. Została więc z gładką głową, i była tak podobną zarówno do ładnego młodziana jak i swawolnej, nieposkromionej dziewczyny.

Nie upłynęło jeszcze pół roku, jak sławny w owych latach malarz Wattenau ozdobił te pokoje malowidłami, jakie zwykle zpod jego pędzla wychodziły, ile razy wolno mu było połączyć w swoich utworach uczucie z ucinkiem, kroplę mleka z kropelką octu. Wymysł zemsty kobiécój, a może nawet zemsty tej samej damy, która teraz w tym pokoju na berzerce siedziała, zlecił mu wymalować szereg scen, wziętych widocznie z głośnego podówczas spisku Cellamare. Każde pole tej pięknej rotundy przypominało mały ustępek tego różaną wodą woniejącego drainatu, który zaczęty w świetnym pałacu, koleją wesołych festynów przeprowadzony, w pałacu się też zakończył. Tu, jak Dyjana lub Kalypso, gronem pasterzy i nimf otoczona, przedstawiała księżna de Maine swój plan obalenia rejeta Francyi, Filipa Orleańskiego, a wyniesienia natomiast króla hiszpańskiego, Filipa V, na tron francuzki. Oto broń moja — zdawała ona się mówić — zakrzywione posochy pasterskie, wstążki, złote sentencyje, śmietankowe sérki, i ładne twarzyczki.

Na drugim polu ściany, ten straszny herszt sprzyśnięcia, rozdawał już nagrody i dostojenstwa. Piękna księżna de Maine przypinała swoim nimfom u wpołobnażonych piersi order, postanowiony przez siebie w Sceaux, a mający, jak wiadomo, pszczołkę za godło.

Najpiękniejszym jednak ze wszystkich obrazem był przedstawiający jedną z owych uczt nocnych, wyprawianych przez księżnę de Maine w ogrodach w Sceaux, które od wtajemniczonych w nie uczestników, czarowną nazwę białych nocy otrzymały. Tam przy blasku księżycy oddawali się spiskowi wszelkim pochętkom uciechy i rozkoszowali pod rozłożystymi kasztanami, u stóp promieniujących się wodotrysków, na murawie, i w pachnących gajach różanych. Festyny te nie były wcale podobne do tajnych schadzek, które w tych cieniach zwoływano: aby wreszcie oznaczyć dzień, kiedy tyran w samo serce miał być ugodzonym. Ztémwszystkiem nie było w tém bynajmniej przesady fantazyi artystycznej, która tę scenę niewymownym urokiem sielankowej poezyi i dowcipkującej swawoli ukraśniała. Wattenau, który nigdy nic miernego nie malował, rzadko kiedy coś bardziej mistrzowskiego utworzył. Te świeże leciuchne krajobrazy, te tajemnicze, ponętne gaje, ta nieco wymanijerowana, upudrowana, ale przecież, jak dla ośmnaastego wieku, nadobna natura o ozdobnych muszkach na licu i o czerwonych obcasikach, otaczała najpyszniejszymi ramami naszą młodą, niecierpliwą się damę, która to arcydzieło Wattenau'a zapewne bardzo drogo przepłaciła.

Było już późno w nocy, a jeszcze niczyja ręka brokatowej obśliny podwojów nie odsunęła. Gdy służący wszedł zapytaniem, czy ma światło zapalić, odpowiedziano mu z niechęcią, aby sobie precz poszedł.

Milsze światło niż wszystkie owe, które w złocistych lampach u pałacowych stropów goreją, jaśniało teraz na widokregu, i płynęło promienną wstęgą przez otwarte okno w komnatę. Słońce nocne oświecało dość wyraźnie wpółokryte kształty nadobnej damy, która w tej chwili dałaby była wszystkie księżycy światła, i wszelki blask ich, i wszystkie poetyczne opisy, jakie one wywołały, za odstęp kroków w przedpoкою.

Nareszcie spełniły się jej życzenia.

Młody mężczyzna otworzył drzwi, zamknął je znów za sobą, i spojrzawszy w ciemności za osobą, którą był pewnym tu znaleźć, usiadł przy niej na berżerce. Po wygnaniu światła z pokoju, po grymasnym milczeniu, z jakim go przyjął, po nieładzie w stroju oczekującej go damy; poznał jej przyjaciela, iż należy być oszczędnym z niepomyślnymi nowinami, i przeto mało co mówił. Zato sądził stosowniejszą rzeczą, porozumieć się jestami,

i wziął ją za rękę, której mu nie zaraz dozwolono i natychmiast cofnięto; chciał się na więcej ośmielić, ale jeszcze mniej zyskał.

„Gniewasz się pani na mnie; jakby to moja winą było, że mię dopiero o czwartej godzinie do audyjencyi przypuszczono.”

Dama nic nie odpowiedziała, lecz owszem jeszcze bardziej odwróciła się od mówiącego.

„Byłem dziś rano u pierwszych bankierów parryzkich. Żaden nie chciał słyszeć o moich planach, dopokąd się nie dowię, na czém moje nadzieje polegają. Wszyscy odprawili mię ze śmiechem, gdy im powiedziałem: że projekt mój jest tajemnicą. Dano mi do zrozumienia, iż na tajemnicę nikt milionów nie wypożycza. Zniechęcony tą odprawą, chciałem u wielkich panów szczęścia próbować. Książę de Richelieu jest równie jak ja, młody, śmiały, chciwy przygód i sławy, i nie lęka się niebezpieczeństw; oczekując audyjencyi u ministra, powziąłem myśl udania się do księcia.”

Żywe poruszenie niecierpliwości było znakiem, iż dama na berżerce nie obojętnie słuchała, co jej mówiono; nie obracając się wszakże ku mówiącemu, tupnęła nogą o kobierzec, wstała, i znów usiadła.

„Uspokój się pani!” mówił jej towarzysz dalej. „Powiadko mi się przekonać księcia, iż nie jestem gminnego urodzenia, ani awanturnikiem. Jednakże byłem zbyt ostrożnym, aby mu się ze wszystkiem odkryć. Zastałem go właśnie przy toalecie. Kazał odejść kamerdynerowi. „Skoro pan jesteś szlachcicem, a ja niczego więcej wiedzieć nie pragnę,” — rzekł książę do mnie — „tedy mogę otwarcie z panem mówić. Podobne przedsięwzięcia, jak to, do którego mię pan tu wzywasz, nie wiele mi się podobają. Zaczynają się one wesoło, śród śmiechu, a kończą się na kłęczkach na rusztowaniu. Podziwiam ja niezmiernie panów de Thou i Cinq-Mars, ale nie czuję w sobie ochoty do naśladowania ich. Co do mnie, dalibóg! kocham życie. Ma ono swoje dobre strony. Opowiadają nam tu wiele pięknych rzeczy o tamtym świecie w górze, lecz nikt jeszcze złamąd nie wrócił, aby nam powiedział, czy się tam w istocie tak dobrze bawią, jak tu na ziemi. Z orężem w rękę na pobojuwisku poledz, lub na zdobytym szańcu zginąć, to jeszcze ujdzie; — ale między dwoma mnichami, z czarną chustką na oczach, iść przez ulice miasta na śmierć, od tego mam wstręt szczery. Zbyt wielka to stawka; zatem chciej pan wybaczyć, iż nie ośmielałem się grać z nim.” — Nie przerywałem księcia, który wdziawszy białą, aksamitową wstęgę, dalej się ozwał: „Ztémwszystkiem, panie hrabio, jeżeli nie chcę wchodzić w pańskie zamiary, tedy dzieje się to nie tyle z bojaźni, ile także z nieco nabytego już doświadczenia. Oto właśnie ledwie z jednego spisku się wywikłałem. To rze-

miosło do niczego! Jest zawsze zbyt wiele uczestników, którzy się chcą obdzielić. A przecieżto nie z lada kim debiutowałem; był tam i król hiszpański, i książę ze krwi królewskiej, i ambasador, i księżna. „Sądzę,” — dodał Richelieu, podając mi cukierków — „iż pan zapewne o spisku Cellamare słyszałeś. Wcale miluchny spisek, uknuty przy świetle lampy buduarowej, i w wonnych gaikach w Sceaux. Ale te przyjemności wcale nam nie pomogły. Panowie z Bastyli inaczej, i bynajmniej nie żartobliwie tę rzecz wzięli. Odkryto nas w naszych gaikach różanych. Przepraszam pana,” — przerwał się książę — „że go tak długo własnymi sprawami zabawiam; czyżby to jedynie, życząc panu więcej szczęścia ode mnie. Nie potrzebuję panu powiadać jak się nasze sprzysiężenie skończyło. Jego królewska mość król Hiszpanii, rządzi dotąd jak rządził, książę i księżna de Maine są znowuż w łaskach u regenta, a ja tylko na śmieszność się wystawiłem; ale wiele bardzo znacznych, chociaż mniej dostojnych ludzi, którzy nie bardziej od nas winni byli, wpleciono w koło na rusztowaniu. — Zawsze jednak, dziękuję panu, iż zpośród tylu znakomych mężów, mnie zaufaniem swoim wyszczególniłeś, a najbardziej za to, że mi jeszcze nie tak wiele swoich nadziei, nie śmiem mówić, swoich urojeń powierzyłeś, abym przeto był przymuszonym, chcąc nie chcąc, oręża w twej sprawie dobyć. — Ale czemuż” — zakończył książę, przywdziewając poranny, perłami wyszywany ubiór — „nie udasz się, panie hrabio, do owej licznej zawsze drużyny rycerzów fortuny, którzy w każdej chwili gotowi są stanąć pod rozkazami śmiałego naczelnika?”

„Ponieważ nie mam dość pieniędzy do opłacenia ich;” odpowiedziałem. „Potrzebuję odwagi i bezinteresowności; dlatego, mości książę, udałem się do niego.”

„Panie hrabio,” — ozwał się książę, i wziął mię za obie ręce — „nie dopuść pan, abymgo nową rekuzą musiał zasmucić, coby w istocie było mi wielce przykrém. Czuję potrzebę być przekonanym, iż pana nie zupełnie do siebie zniechęciłem. Zapomnij pan, co mu tu powiedziałem; pamiętaj tylko, iż masz we mnie przyjaciela. Jesteś cudzoziemcem; przynajmniej tak mi sam oświadczyłeś, gdyż po twojej wymowie i towarzystwie nie mógłbym być tego odgadnąć; pozwól mi, osiarować ci moje wstawienie się u osób mi znanych.”

„Nato wstałem, żegnając księcia, i podziękowawszy mu za uprzejme jego przyjęcie, odszedłem. — Czyż jeszcze gniewasz się na mnie, Aryjolino?”

Aryjolina uczyniła tylko wtedy znak, iż uważa na opowiadanie swojego towarzysza, gdy tenże przy zmianie o spisku Cellamare, wspomniął był o księżnie de Maine. Natenczas głowa jej wzniosła się hardo, i wtedyto dopiero postrzegł hrabia, iż pię-

kna Aryjolina nie miała fryzjerskiego przyboru na głowie.

„Nareszcie,” — zakończył hrabia opowiadanie, kładąc rękę na piękną, krnąbrną główkę swej przyjaciółki — „poszedłem do ministra, do pana kardynała Dubois.”

Aryjolina podniosła głowę słuchając, a dotychczasowa jej oziębłość znowuż gwałtownej niespokojności ustąpiła.

„Czy pani wierzysz, iż mię przez trzy dziedzińce i tyleż ogrodów przeprowadzono, zanim wręczenie dostałem się do ostatniego ogrodu, gdzie mię proszono, abym zaczekał, aż jego eminencyja raczy mię przywołać do siebie. Było rozległy, angielski ogród. Wkoło dużego owalnego gazonu wiła się rześcicie kwiatami wysadzona aleja. Widok ten nie miał w sobie nic rozwesеляjącego. Oczekiwałem więc posępnie chwili przedstawienia u kardynała-ministra, gdy naraz otworzyła się fórtka, ukryta grupą topoli, i wyszedł z niej służący z dwoma osiodłanymi końmi. Lubo dość daleko byłem od fórtki i gazonu, na którym konie się zatrzymały; przecież natychmiast poznałem, iż one tylko jakiego księcia własnością być mogły. W samym oryencie widziałem mało koni, któreby miały być piękniejsze kształty i cieńszą szyję; przytem sierć ich była tak delikatna jak płęć murzynki z Gambii. Fórtka otworzyła się powtórnie, i wystąpił nią słuszny, dobrze zbudowany mężczyzna w uniformie musketyjerów, mówiący bardzo poufnie z człowiekiem, którego z początku miałem za stajennego. Zakryty cienistym kłębem, mógłem wszystko widzieć, nie będąc wżajem widzianym. Z zadziwieniem, którego opisać nie umiem, postrzegłem dalej, iż kapitan od musketyjerów, owego prostakowatego, źle ubranego, brudnego i już podstarzałego człowieka podniósł na rękach z ziemi, i wysadził na konia; on sam wsiadł na drugiego konia, i zaczęła się lekcya jeźdźnia. Odtąd nie nudziłem się więcej, lecz przypatrując się z uśmiechem scenie na gazonie, oczekiwałem spokojnie audyjencyi. Wystaw sobie pani małpę, która wszystkie poruszenia tancerki od opery naśladuje. Niezgrabny jeździec gubił wnet strzemiona, wnet chwycił konia za szyję, i krzyczał ze strachu. Wór orzechów, posadzony na konia, byłby miał więcej godności. Podziwiałem cierpliwość nauczyciela, łagodność jego uwag, ton głębokiego uszanowania, z jakim on najśmieszniejsze uchybienia swojego ucznia poprawiał, który nadto jak prosty woźnica kłął i łajał: „Do milion czartów! Poprę pękł, ja tu jeszcze kark skręć! Niech was licha porwie! Konie zanadto owsa jedzą!” — Chociaż te i wszystkie inne zarzuty nie były słuszne, przecież nauczyciel potwierdzał je z uśmiechem i zląził z konia, dla poprawienia uchybień, których nie było. Po kilku obrotach, które naszemu niedołącznemu

jeźdźcowi tysiączne sprawiały trudności, zakończono lekcję przejazdką powolną, i życzyłem sobie ujrzyć zbliżka tego, co mię zdala tak serdecznie ubawił.”

Aryjolina zdrzała, a jej poruszenie wyjawilo to hrabiemu.

„Odgadłaś pani co za nieszczęsna śmiałość w tém życzeniu się ukrywała. Zbliżywszy się ku miejscu, gdzie siedziałem, spojrział ów niezgrabniś na mnie, zmieszał się, zarumienił, zwrócił konia ku mnie i zapytał: „Cóż pan tu robisz? Kto pan jesteś? Czego pan żądasz?” — Ja odpowiedziałem...”

Aryjolina uderzyła się ze złości ręką po czole.

„Mógłbym przypuścić, kochana Aryjolino, że ten gbur, ten niezgrabny jeździec jest ministrem reagenta, jest ów sławny kardynał Dubois. Udając że mię to nie zmieszało, wymieniłem mu mój tytuł, okazałem mu kartę audyencyjonalną, i dodałem, iż jeden z jego służących kazał mi czekać w ogrodzie, aż dopóki jego eminencyja mnie nie wezwie. „Bardzo dobrze,” — rzekł minister — „wejdź pan do pałacu, i zaczekaj na mnie w gabinecie; przyjdę tam niebawem.” — Pod tą pozorną spokojnością krył on złość wewnętrzną: że pierwszy minister Francyi, dostrzeżony był przy lekcyi jeźdźzenia na koniu! Żal mi tylko było służącego, który zapewne jeszcze nie oswojony ze służbą, przez pomyłkę, na ujeżdżalnię jego eminencyi mię wpuścił.”

„Wprowadzono mię do gabinetu, gdzie niedługo na ministra czekałem. Zdawało się, jakby już sobie nic z tego nie przypominał, co zaszło na ujeżdżalni, i aż do końca z uprzejmą powagą mię usłuchał. Oświadczyłem mu wszystko, prócz tego jednego — kto jestem. Wątpię jednak, aby miał mnie w istocie za prostego szlachcica duńskiego, jakim mu się być wymieniłem. Ale że mój tytuł, chociaż bardzo wielkiej wagi w naszej sprawie, nie koniecznego jeszcze wymagał roztrząsania; przeto minister zwrócił uwagę swoje na inną stronę mego projektu. „Jestło na pozór rozsądne przedsięwzięcie,” — rzekł do mnie — „ztemwszystkiem, ma ono zarazem zbyt romantyczny charakter, aby wielki naród, jak Francycja, rzeczywiście o wykonaniu jego mógł pomyśleć. W sprawach polityki należy zawsze mieć koniec przed oczyma, i dla trafnego tych spraw ocenienia, przypuścić: że już są dokonane. Najstraszliwszą próbą jest powiedzenie się rzeczy. Dajmy nato, iż ty panie hrabio, i tych trzysta Duńczyków, którzy cię w Malcie oczekują, i owych kilkuset awanturników, których ci Francycja dostarczy, — a dzięki Bogu, nie brak tu u nas na nich — wreszcie tych trzy lub cztery tysięcy ludzi, których masz w Indyjach, wszyscy w dobrém między sobą jesteście porozumieniu, ani się nie zdradziecie, i nawet szczęśliwie, jużto przemocą, już zrzecnością, opanujecie komtuary angielskie, które leżą nad Gangesem, a są kluczem do Indyjów wschodnich. Przypuśćmy da-

lej, iż dawni naczelnicy indyjscy, wydziedziczeni przez Anglików, spólnie z wami do dzieła się wezmą, i pomogą wam wygnać swoich ciemńców. Wreszcie przypuszczam, iż ci naczelnicy zostawszy niepodległymi królami, i tobie także, panie hrabio, koronę w zamian dadzą, a ty z wdzięczności dla Francyi, spaniałomyślne i rzetelne z nami zawrzesz układy, i na koszt Anglii i Holandyi, korzystnych przywilejów handlowych nam udzielisz. Dobrze więc! Ponieważ to wszystko tak jest możebne i prawdopodobne, przeto właśnie powiadam, iż to jest niepodobieństwem. Koniec wszystko niweczy. Nigdy dwudziestoletni Duńczyk królem w Indyjach nie będzie.” — Pojmujesz Aryjolino, iż takiego zarzutu ministra nie można było bez niebezpieczeństwa dla mnie usunąć. — „A zatem, panie hrabio,” dodał kardynał — „wybierz pan sobie mniej trudny zawód działania, lub udaj się do bardziej przedsiębiorczego i rycerskiego narodu niż jest francuzki. Francycja nie ma dla pana żadnej innej pomocy, prócz szczerych życzeń. Zresztą ty sam, panie hrabio, pojąłeś zbyt dobrze położenie francuzkiego ministerjum względem Anglii, aby się lękać niedyskrecyi ze strony mego gabinetu.” — Tak więc zostałem formalnie odprawionym. Wyszedłem z tém samém, z czém przyszedłem, i pospieszyłem czemprowadzić tu do pani. Wszakże idąc przez plac Delliny, przypominałem sobie, iż chciałem ci małą niespodziankę sprawić. Wstąpiłem więc do mego jubilera, który jak wiesz, jest w swym rodzaju najlepszym artystą w całym Paryżu. Zamówiona przeze mnie robota, była właśnie na ukończeniu. Aby mieć coś w przeproszenie za moją długą niebytność, zatrzymałem się na próśby jubilera, który jeszcze tylko godziny do ukończenia swojej prześlicznej roboty żądał. Tymczasem z tej jednej godziny przyszło do trzech — lecz wkońcu otrzymałem przecięż, com sobie życzył, i oto jest...”

„Ha!” zawołała Aryjolina z radością, powstając w królewskiej koronie na głowie. Gniew, złość, grymasy, wszystko przeszło; uszczęśliwiona kochanka rzuciła się młodemu mężczyźnie na szyję.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego T. W. Kochańskiego* wyszedł nr. 38y i zawiera: 1) O oszczędném użyciu oborniku w rolnictwie. 2) Słów kilka K. J. Turowskiego o dzietku: Postrzeżenia, uwagi i skazówki gospodarstwa ziemskiego w królestwie polskiem, szczególne ustanowienia posad rolniczych, dzierżawy wieczystej, chowu zwierząt domowych i budynków gospodarskich tyczące się, przez Jakóba Schredera. (Dokończenie.) 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennika mód paryżskich pod redakcyą Tomasza Kuczycyckiego, wyszedł nr. 20ty i zawiera, prócz

mód, następujące artykuły: 1) O wpływie macierzyńskim. 2) Odpowiedź na zdanie o grammatyce Deszkiewiczza. 3) Nowości literackie. 4) Uwiadomienie.

O dzisiejszej literaturze francuskiej, mówi znakomity pisarz francuzki Cherbuliez w następujące słowa: W miarę jak środki ogłaszania zdań swoich, mianowicie pisma czasowe, się mnożą, niepodległość literatury coraz bardziej upada. Dzienniki są już teraz organami nie zasad różnych, lecz różnych interesów. Przemieniły się one w głosy pewnych stronnictw, pewnych koteryj, których osobiste widoki żadnej styczności z ogólnem dobrem nie mają. Zład rodzą się owe ograniczone, ciasne, samolubne zdania o jednej i tej samej rzeczy, zład pochodzi ciągły niepotrzebny swar między dziennikami, zład wręcz niekczemna dążność używania przedsiębiorstw literackich do celów zupełnie materyjalnych, kupieckich. Odkąd szlachetne przeznaczenie pisarza spuszczone z oka, odkąd na przekonanie i zasady, jakoteż na moralność celu, zważać zaprzestano, przemieniło się całe dziennikarstwo w sprawę pieniężną. Musi ono żyć z tych czysto-stronniczych interesów, których bronić się podejmuje, lub musi sobie w jakikolwiek inny sposób zaradzić, jeżeli nie chce upaść w obec zubożniałej, przesyconej publiczności, która właśnie dlatego naturalnej, zdrowej strawy nie przyjmuje, że jest już syta.

Postępy ducha czasu w Chinach. Z Kantonu donoszą: «Żyjemy tu w czasach nagłej metamorfozy wszelkich stosunków, a po kilkudziesięciu, może już kilkunastu latach, cała powierzchowność społecznego życia w Azji, przybierze odmienną postać. Rozwija się tu groźny duch swobody i niepodległości, który obecną formę rządu gwałtownie przekształcić usiłuje, a każdego miesiąca odbywają się zgromadzenia tysięcy ludu, obradujących nie tylko nad reformą Chin, lecz owszem wszystkich sąsiednich krajów. I co najszczęśliwsza, że te wyobrażenia nie są im przez Europejczyków zaszczerpione, lecz same z własnego rodzimego gruntu, z ludu się dobywają i rozchodzą. Posuwając się zaś od wyobrażeń do czynów, zburzono już ze szczerem dóm pewnego tyrańskiego mandaryna Kwang-szu-fu, przyczem, jak się publicznie tém chwala, nikt sobie niczego nie przywłaszczył. W ten sposób bierze gmin coraz bardziej górę nad zamożniejszą częścią ludności. Keying nie śmie już nic bez przyzwolenia owych miesieczyznych zgromadzeń czynić, a każde jego rozporządzenie bywa natychmiast surowo rozrządzane. Ztém-wszystkiem nie masz w języku chińskim wyrazu »wolność« — lecz pojęcie tego wyrazu coraz bardziej się rozprzestrzenia. (Humor.)

Dolina śmierci na wyspie Jawa. Jestto dolina, wzywająca najszkodliwszą truciznę, gaz-kwas węglowy, który z szpar i rozpadlin ziemi się wydobywa, i do znacznej wysokości całą dolinę napełnia. Ani człowiek ani zwierzę nie powraca z niej żywo, skończy tylko nogą tam stanie, a nie można zmiarkować wprzódzie niebezpieczeństwa, aż gdy jadowita powietrzna niechybna już śmiercią owionie. Kwas węglowy, z którego ta powietrzna po większej części się składa, wznosi się do 18 stóp ponad powierzchnię doliny. Ptaki, zalatujące w tę przestrzeń, padają natychmiast martwe na ziemię, a wrzucona tamże żywa kura zdechna, zanim jeszcze ziemi dosięgnie. Cała też powierzchnia tej śmiertelnej doliny zasiana jest szkieletami rozmaitych zwierząt, które w jej obrębie zginęły.

Conclave weneckie. Dawnych dożów weneckich obierano podobnym sposobem jak papieżów. Należało do tego aktu 41 wyborców, których po śmierci byłego doży w jednej sali zamykano, i nie wprzód wypuszczano, aż póki nowego naczelnika rzeczypospolitej nie obrali. Podejmawano ich tam najprzepyszniej, kosztem publicznym, a czego jeden zażądał, tego wszystkim bez wyjątku dawano. Jednego razu zapragnął któryś z wyborców »Bajek Ezopa« — i musiano więc wszystkie księgarnie weheckie przetrząść, zanim 41 egzemplarzy żądanej książki wyszukano.

Las bawełniany w Węgrzech. Dzienniki węgierskie donoszą, iż w pogórzu Bakońskim, w okręgu państwa Zamor, w komitacie Wesprimskim, pewien nauczyciel ewangelicki odkrył las bawełniany, składający się z krzaków wielkości dużych krzewów różanych. Wązkie łupiny ich owoców były już podobnie jak u kasztanów porożpękane, i zawierały tak zadziwiająco obfitość owych małych, pęczniejących kuleczek bawełnianych, iż przy najstaranniejszej uprawie krzewów, nie można by się ich było więcej spodziewać.

Książę Poniatowski, którego w Florencji przedstawiane opery coraz głośniejszą sławę zyskują, był podczas swojej ostatniej bytności w Paryżu, przez dyrektora wielkiej opery o nową partyturę proszony. Książę-artysta zdawał się nie być od tego, lecz oświadczył zarazem, iż jako główny warunek kładzie, aby mu dobre libretto dano. Wszakże dobre libretto nie znalazło się na razie, o ile że Scribe zużony jest jeszcze swoją włoską podróżą, Melesville wziął wieczny rozbrat z muzą dramatyczną, St. Georges pojechał do wód, Soulié bawi w Pirynejach i t. p. Nie było więc nikogo prócz Dumasa; Dumas, tejtó cudownej opatrności księgarzy, redaktorów i antreprenorów teatralnych. Talent jego jestto niewyczerpany róg obfitości, syjący się od świtu do północy, od chwili kiedy p. Dumas z łózka wstaje, aż do chwili, kiedy zasypia. Nawet we śnie tworzy pan Dumas. O którejkolwiek godzinie zapukasz, znajdziesz zawsze gotowy romans lub dramat. Dyrektor wielkiej opery i książę Poniatowski poszli więc do Dumasa. Przyjęto ich z książęcą spauiałością. Przy wetach opowiedział Dumas przesliczną historyjkę — czułą, dowcipną, zachwycającą. Wszyscy przyklasnęli z radości i uniesienia. Ktoś zapytał: »Kiedy będzimy mogli czytać tę powieść?« — »Obaczycie ją państwo na scenie wielkiej opery, z tekstem Aleksandra Dumasa a muzyką księcia Poniatowskiego. Na pomyślność naszej opery!« — Odpowiedziano głośnym toastem, a cały piękny i wielki świat oczekuje z upragnieniem przyobiecanego zjawiska.

O wędrownym instynkcie zwierząt czytamy: Niedawno, przy wyspie Ascension, złapano żółwia i naznaczono go wypiętowaniami na tarczy głóskami i liczbami. Wzięto go w drogę do Europy, lecz gdy on na morzu rozchorzał i miał już zdechnąć, wrzucono go w kanale angielskim w morze. We dwa lata złapano tegoż samego żółwia w stanie zdrowym w pobliżu tejtó samej wyspy Ascension. Za jedynym tedy popędem instynktu znalazł on drogę nazad do miejsc rodzimych i przewędrował przeszło 800 mil pod wodą.

Godny naśladowania przykład podało miasto Koblencyja, tworząc z zamożniejszych mieszkańców komitet w celu zawiązania towarzystwa, któreby zważając coraz większą drożyznę, znaczną ilość zboża w obecnej chwili zakupiło, a w razie zbytniego, w zimie lub z wiosną nastąpić mogącego podrożenia żywności, zapasy swoje po terazniejszej cenie targowej sprzedawało.

Infant Don Francisco d'Asis, narzeczony królowej Izabeli, darował swojej oblubienicy przybor z pereł, wartujący 2 1/2 miliona zł. pol., niegdyś własność jego matki, Ludwika Karoliny Sycylijskiej. Siędmio jego rodzeństwa w infant odstało bratu swoją część w tym klejnocie familijnym.

O zaprawianiu mleka. Pisma wiedeńskie zawierają następującą odezwę do lekarzy: »Najpierwszym obowiązkiem lekarzy jest — zapobiegać chorobom. — Badając przyczyny wielu, mianowicie dziecięcych chorób, przekonujemy się, że większa część tych chorób z powszechnego u nas zaprawiania i fałszowania mleka pochodzi, i byłoby w istocie wielką zasługą około ludzkości, i chwalebnie ze wszech miar przedsięwzięciem, gdyby lekarze podobne wypadki, nabyte z doświadczeń swoich, spisywali, i od czasu do czasu tak publicznie jakoteż i swierchność o swoich postrzeżeniach uwiadomiali, aby tamta od używania złego mleka przestrzeżoną być mogła, ta zaś, wszystkich przekupniów, którzy takie złe mleko sprzedają, do odpowiedzialności pociągnęła. W przeciągu przeszło 40stu lat leczyłem tysiące dzieci, jakoteż i dorosłych, na różne choroby żołądkowe i skrofuliczne, które wszystkie z używania zaprawianego mleka wynikały, — leczyłem często szczęśliwie, często zaś także nieszczęśliwie, jak mi się to właśnie niedawno przy dziesięciu-dniowym dziecięciu wydarzyło, które jedynie z otrucia tak zepsutem mlekiem umarło. Poznałem się tem łatwiej na tem, iż jako dokładny znawca dobrego, niezaprawnego mleka, nie dam się tak łatwo zwieść kożuszkom czyli wierchnim osadem mleka, jakiegoto kożuszka żadne dobre, szczerze mleko mieć nie powinno, a który zwykle tylko z zaprawiania mleka mąką, mydłem, popiołem, spirytusem salmiakowym i smalcem powstaje. Czém grubszy taki kożuszek, tém gorsze jest mleko. Kto tylko raz widział, jak taka młeczarka raou mleko swoje zaprawia, różne z potajemnego schowku, gdzie tak-zwana esencja młeczna się przechowuje, przyprawy bierze i takowe z rozpuszczonem wodą mlekiem kłóci i miesza; ten zapewne na długo wszelki smak do mleka stracił, i słuszność moich umieszczonych tu uwag uznał. Jeżeli tedy już tyle dobroczynnych stowarzyszeń w naszych czasach się zawiązuje, dla czegoż nie miałoby takowe również pomiędzy lekarzami się utworzyć, i pożądaných nieść owoców?»

Do historyi północzok. Narody północne używały jedynej sukni do okrycia całej nogi. Dopiero przed kilką wiekami zaczęto dwie sztuki z tej jednej robić, i powstały spodnie i północzochy. Na drutach robione północzochy pojawiły się najpierw w Hiszpanii, a ztamtąd przeszły do Szkocji. We Francji nie chcieli kawalerowie długo nosić innych północzoch, jak takie które już przez damy noszone były. W Anglii magister William Lee w Cambridge, wynalazł r. 1589 bardzo przemyślnie urządony warsztat do robienia północzoch, na którym jeden człowiek w oka mgnieniu kilkaset oczek mógł zawiązać. Pobudką do tego wynalazku miała być Williamowi Lee jego kochanka, której zbyt pilne zajmowanie się północzochą wielce go nudziło. Pierwsze jedwabne północzochy nosił, jak powszechnie utrzymują, angielski król Henryk VIII.

Najmodniejszym sprzętem w Turkinie, należącym niezbędnie do przyozdobienia każdej wytwornej komnaty, są — trumny. Bywają one z bardzo kosztownego drzewa sporządzone, lśniące, wyzłacane i napisami ozdobione. Mniej zamożni ludzie używają

trumien swoich miasto kufrow. Ciacę ojcu lub jakiemu krewnemu przyjemną niespodziankę sprawić, każą zwykle dzieci Turkińskie zrobić potajemnie ładną trumnę, i stawiają im takąową zniemacka w ich pokoju. Podobny dowód dziecięcej czułości przyjmują rodzice z najkliwszą radością. — Coby też u nas bogate ciotki i wujki na tak miłą niespodziankę powiedziały?

Nowe cygara. W Berlinie zaczęto sprzedawać nowy rodzaj cygarów, zwanych *à la Polka*, które za potarciem dolnej ich części o jakikolwiek twardy przedmiot, same się zapalają.

Nie dowiarek. Piotr welki — odwiedzając sławny zamek niemiecki Wartburg, gdzie między innemi osobliwościami pokazują podróżnym na ścianie piamię z atramentu, którą podług podania, Marcin Luter, rzuciwszy kałamarnicą za kuszącym go djabłem, zrobił — napisał otówką obok tej piąmy: »Być to może, podanie dawne, lecz atrament święży.«

Z puścizny Napoleona a pokazywane są obecnie na publicznej wystawie w Londynie następujące relikwije, za których prawdziwość uroczystie zaręczają: łożo, na którym Napoleon umarł; materac i kołdra, dotąd jeszcze w skutek odbytej na ciele cesarza sekcji krwią poplamione; płaszcz, który Napoleon miał na sobie w bitwie pod Marengo, a później synowi swemu, księciu Reichstadt przekazał; szabla, noszona przez Napoleona w bitwie pod Piramidami, i figurą w zupełnym stroju, jaki cesarz zwykle na wyspie św. Heleny nosił; płaszcz koronacyjny Napoleona i Jozefiny; chorągiew, darowana przez Napoleona gwardyi narodowej na wyspie Elba; szabla honorowa, którą mu dyrektoryjum po jego powrocie z pierwszej wyprawy w darze przesała; serwis porcelanowy, używany przez cesarza na wyspie św. Heleny; krzyż honorowy, który Napoleon ciągle podczas swego pobytu na wyspie św. Heleny nosił, złoia tabakiera z jego cyfrą, i pierścień, darowany przez cesarza bratu Łucyanowi podczas ich pojednania się w r. 1815; portret Napoleona, dzieło malarza Lefebvre; portrety Jozefiny, Maryi Ludwika, królowej Karoliny Neapolitańskiej, Łucyjana, matki cesarza, i księcia Reichstadtzkiego w dzieciennym wieku, malowane przez Davida, Gerarda, Lethiere, i Sales; powóz polowy Napoleona, wzięty w bitwie pod Waterloo, a zakupiony przez Jęzrego IVgo za 30.000 zfr.; wreszcie przepyszne malowidło na porcelanie, przedstawiające wszystkich marszałków Napoleońskich, arcydzieło fabryki w Sevres, malowane przez Izabeya, a przez Napoleona miastu Paryżowi darowane. — Widać z tak obfitego nagromadzenia i wystawienia tych skarbów, że Napoleon i między synami Ablijonu mnogich ma wielbicieli.

Opis bitwy. Znany humorysta niemiecki Saphir powiada: »Bitwa jestto zbiegowisko mnóstwa ludzi, którzy się w wielkie i małe piłki bawia. Która strona najpierw się znudzi, ta z przeproszeniem publiczności prędzej też z placu igrzyska ucieka. Ci, którzy mają krótki oddech i biędz nie mogą, pozostają na miejscu, i zowią się jeńcami. Dotrzymująca placu strona każe sobie z radości *Te Deum* śpiewać.«

Różnica wieku. Pewna dama, która bardzo długo młodą była, zapytana o wiek swój, odpowiedziała, iż ma lat »dwadzieścia dziewięć«. — Na jej nieszczęście był w tem samem towarzystwie jej syn, a gdy zdośliwy ciekawnis i tego o wiek zagadnął — »Jestem tylko o jeden rok młodszym od mojej matki« — odrzekł synalek wyrodny.